



# UPARTE SERCE TEGO MIASTA

Renata  
Piatkowska

Materiał edukacyjny przygotowany w ramach akcji BohaterON w Twojej Szkole 2023.  
Rekomendowany dla klas 7-8 szkoły podstawowej.





Renata Piątkowska

# UPARTE SERCE TEGO MIASTA

Ilustrowana  
Katarzyna Fus

Skład  
Fabio Flaminio

**P**ierwszy sierpnia 2023 roku. Szare chmury przegładają się w Wiśle. Drobny deszcz skropił zakurzone, warszawskie ulice. Tramwaje ruszają z przystanków, kierowcy w samochodach niecierpliwie wyczekują zmiany świateł. Chodnikami spieszy kolorowy tłum. Dookoła słychać gwar rozmów, strzępy melodii, nawoływania, śmiech. Typowy wielkomiejski zgiełk. Nagle w to letnie popołudnie wdzierają się przejmujący dźwięk syren. Wybiła siedemnasta.

Autobusy, tramwaje i samochody zatrzymują się. Kierowcy włączają klaksony. Ludzie stają w bezruchu, milkną. Dziewczyna w niebieskiej sukience wyjmując z uszu słuchawki i wstaje z ławki. Mały chłopiec przykleja nos do samochodowej szyby i dziwi się, że auta nie jadą, choć światło zmieniło się na zielone. Na dodatek kierowcy trąbią bez przerwy, a jego tata to już chyba najgłośniejszy ze wszystkich.

Maluch tego nie wie, ale pierwszego sierpnia 1944 roku też kropił deszcz, a ciężkie chmury odbijały się w Wiśle. Nie wie, że słowo „powstanie” było tego dnia na ustach wszystkich warszawiaków. Nie rozumie, że przed chwilą, równo o siedemnastej, włączono syreny i klaksony, by upamiętnić Godzinę „W” – godzinę wybuchu powstania.

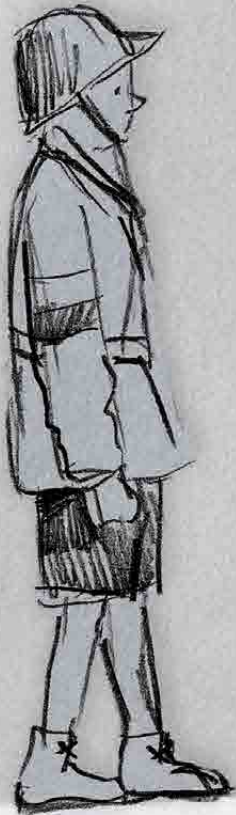
Ale ludzie stojący na ulicach pamiętają. Ci, którzy przeżyli okupację, stoją bez słowa i patrząc na swoje miasto, pod powiekami mają Warszawę z 1944 roku. Gdyby ich zapytać, przywołaliby swoje wspomnienia.



## ZACZĘŁO SIĘ

Starszy pan, którego dźwięk syren zatrzymał na Marszałkowskiej, przypomniał sobie ze wzruszeniem moment wybuchu powstania:

*– Było tuż przed piątą. Nagle, gdzieś blisko, odgłosy strzelaniny. Ktoś krzyknął: „Nasi biją Niemców!” Co za radość i niedowierzanie! Tego samego dnia na podwórku pojawili się chłopcy z biało-czerwonymi opaskami na rękawach. Jedni w furazerkach na głowie, drudzy w za dużych hełmach. Niektórzy mieli karabiny lub pistolety. Pozostali – tylko plecaki przewieszane przez ramię. Pierwsi powstańcy. Mali żołnierze z minami generalów – mówił.*



# BARYKADY

Dobrze pamiętał też barykady, które stanęły na ulicach miasta. Na tej pod jego domem było dużo worków z piaskiem i przewrócony wagon tramwajowy. Starszy pan – wtedy mały chłopiec – dołożył tam jeszcze swoją drewnianą hulajnogę.

– Już pierwszej nocy zaczęła się budowa barykad. Początkowo powstawały ze spiętrzonych mebli. Ludzie znosili szafy, stoły krzesła, półki. Stawiali w poprzek drogi tapczany, materace, ktoś przyciągnął ręczny wózek, ktoś inny wytoczył dębową beczkę. Beładnie ułożone sprzęty osuwały się i przewracały – dodał.

Takie prowizoryczne barykady nie mogły zatrzymać czołgów. Kopano więc kilofami rowy. Wyrywano płyty z chodników i ustawiano z nich murki. Całość umacniano ziemią i ceglami. Rąk do pracy nie brakowało, gorzej z narzędziami. Każdy kilof i łom do podważania płyt były na wagę złota. Pomiędzy barykadą a ścianą domu zostawiano wąskie przejście. Można było tamtędy wnosić rannych, przemieszczać się, uciekać. Ludzie pomagali, jak mogli. Jakiś mężczyzna wdrapał się na słup tramwajowy i odcinał druty. Przeklinał przy tym Niemców na wszystkie możliwe sposoby. Druty z chrzęstem spadały na ziemię, a potem wkręcały się w gaśienice niemieckich czołgów. Po chwili nad barykadą powiewała biało-czerwona flaga. Tę flagę, zawiniętą w szary papier, przyniosła kobieta z sąsiedniej kamienicy.

– Mój syn, zanim zginął, ukrył ją pod podłogą – powiedziała, wręczając flagę powstańcom. – Teraz przyszła pora, by ją wyjąć – dodała i odeszła, chowając twarz w dłoniach.



## BOMBARDOWANIE

Na Placu Trzech Krzyży, w zgiełku wyjących syren i klaksonów, stała starsza, drobna kobieta. Podpierała się laską z ozdobną rączką i z zadartą wysoko głową obserwowała niebo. Mogło się wydawać, że śledzi wzrokiem lot szpaka. Ale tam, gdzie inni widzieli czarną sylwetkę ptaka, ona widziała Junkersa. Czas się cofnął, wróciły wspomnienia. Znowu nadlatywał niemiecki bombowiec. Maszyna ogromniała w jej oczach.

A potem rozpętało się piekło. Wybuchały bomby, terkotały karabiny. W huku walących się stropów i ścian, w kurzu i dymie, płonęły kamienice. Wielkie na kilka pięter ogniska. Ulice w rudych i szarych chmurach. Wszędzie dym i ceglany pył. Wśród ruin przemykali ludzie. Schyleni, brudni, zakrwawieni, uciekali ze zbombardowanych domów. Spod gruzów wydostała się jakaś kobieta. Kurczowo trzymała w ramionach swoją martwą już córeczkę. W piwnicy starej kamienicy siedzieli jej mieszkańcy. Siedzieli i nasłuchiwali. Kiedy nadlatywał samolot, z piwnicy niosło się wołanie:

„Matko Boża, módl się za nami...”

Bomby wyły nad miastem, a oni się modlili:

„Teraz i w godzinę śmierci naszej...”

Potem huk taki, że ziemia się zakołysała. I nagle: trrrrach! Runął dach i piętra, a kamienica wysypała się na ulicę. Podwórze pokryło się szarym pyłem, jakby osiwiło z trwogi. Nagle rozległ się dobrze znany warszawiakom dźwięk. Coś jakby dalekie ryczenie krowy. Ryk, gwizd, zgrzyt. Niektórym ten odgłos przypominał przesuwanie wielkiej, skrzypiącej szafy. Tak zresztą o niemieckich wyrzutniach pocisków raketowych mówili warszawiacy: „krowy” lub „szafy”. Były wyjątkowo niebezpieczne i siały prawdziwy popłoch. Te burzące – zabijały samą siłą podmuchu. Zapalające – zamieniały wszystko w ogień. Najlepiej było chronić się przed nimi w piwnicach z dobrze zabezpieczonymi okienkami. Jeśli ktoś, słysząc ryk „krowy”, był daleko od schronu, to musiał szybko położyć się na ziemi. Choć i to na nic się zdawało, jeśli pocisk uderzył zbyt blisko. Każdego dnia, po każdym ostrzale i bombardowaniu, pojawiały się nowe groby. Na skwerach, trawnikach, podwórkach i chodnikach. Wszędzie.

## RZEŻ NA WOLI

Na ulicy Wolskiej stał samotny mężczyzna. Było coś poruszającego w jego opuszczonych ramionach i nieobecnym spojrzeniu. On chyba nawet nie słyszał zawołania syren. Ten dzień, jak żaden inny, przypomniał mu, że w powstaniu stracił całą swoją rodzinę. Mamę, tatę, braci, siostrę, dziadków – wszystkich. W sumie 11 osób. Zginęli podczas rzezi na Woli. Nie wiadomo nawet, gdzie są pochowani. Minęło tyle lat, a on wciąż próbuje przypomnieć sobie ich twarze. Miał wtedy tylko trzy lata. Nie pamięta.

„Każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców. Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy” – brzmiał rozkaz wydany przez Reichsführera SS, Heinricha Himmlera, po wybuchu Powstania Warszawskiego.

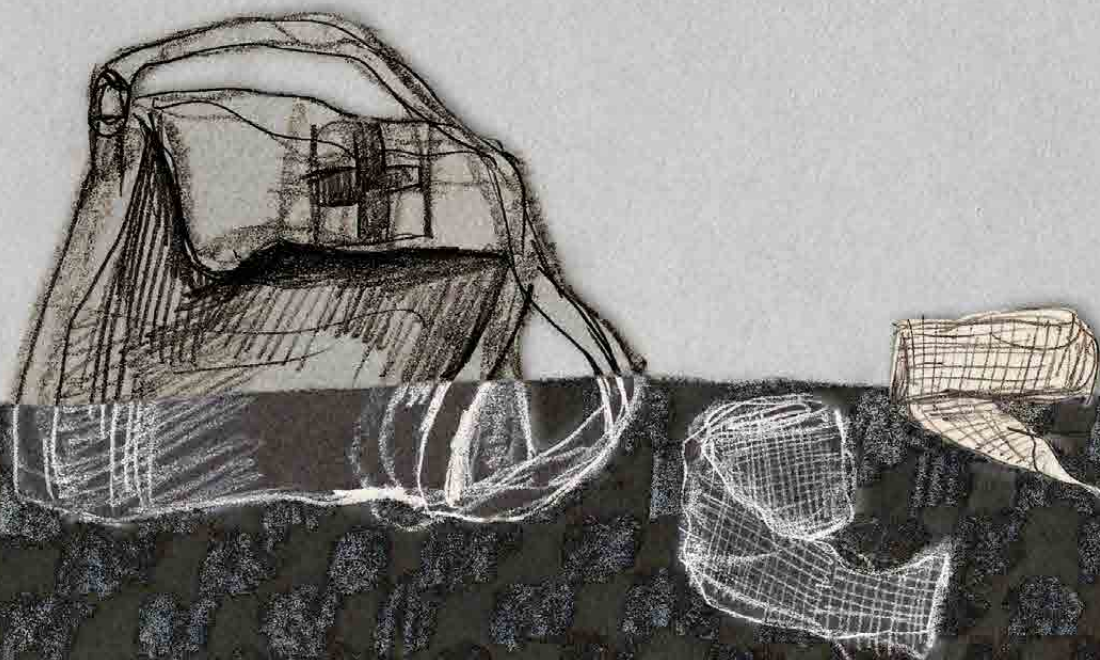
Jego rozkaz został wykonany z całą bezwzględnością. Pomiedzy 5 a 7 sierpnia 1944 roku Niemcy zamordowali ponad 50 tysięcy mieszkańców Woli. Zabijali ludność cywilną dom po domu, ulica po ulicy. Większość zbrodni dokonywano na podwórkach, w piwnicach, w parkach, na ulicach. Wypędzano bezbronnych ludzi z mieszkań i zabijano strzałem w głowę, lub rozstrzeliwano ich z karabinów maszynowych. Na placach, na których odbywały się masowe egzekucje, zwaly trupów sięgały wysokości jednego metra. Po dokonaniu mordu palono domy. Wielu ludzi zginęło w płonących budynkach, których nie pozwolono im opuścić. By zrozumieć skalę zbrodni popełnionej na mieszkańcach Woli, wyobraźmy sobie, że zamordowane ofiary ustawiają się w rzędzie, jedna obok drugiej. Ta kolejka miałaby długość 20 kilometrów... Pośród nich stałoby 11. krewnych mężczyzny z ulicy Wolskiej. Tych, których twarze już nigdy sobie nie przypomni.



## SANITARIUSZKI, ŁĄCZNICZKI

Na ulicy Franciszkańskiej głos syren alarmowych zatrzymał starszą panią, która jako młoda dziewczyna brała udział w powstaniu. Niedysiejszy czarny warkocz zamienił się w siwy koczek, ale spojrzenie pozostało jasne i nieustraszone. W jej wspomnieniach wciąż żyją tamte „morowe panny” – sanitariuszki i łączniczki. Pamięta ich pseudonimy i to, jak z białą-czerwoną opaską na ramieniu biegały pod ostrzałem z noszami, z meldunkami. Często o nich myśli, zwłaszcza w taki dzień, jak ten.

*– Sanitariuszki – wspinały, odważne dziewczyny, szły tam, gdzie były potrzebne. Bez broni, za to z sanitarną torbą na ramieniu. One podczas ostrzału nie mogły szukać dla siebie schronienia. Musiały dotrzeć do rannego i wynieść go w bezpieczne miejsce. Walczyły na swój sposób, z noszami i bandażem w ręce. Na co dzień wyglądało to tak:*



Kule latały ze świstem, Niemcy walili z granatników i moździerzy. Pod murem, zgięte w pół, biegły sanitariuszki. Każda z nich zaklinała rzeczywistość: „Mnie nie trafia. Ja nie zginę”. Przemykały pochylone, pod stopami miały gruz. Nogi nawykłe do chodzenia po rumowisku z wprawą szukały bezpiecznego przejścia. Dziewczyny co chwilę omiatały wzrokiem dachy i okna. Tam mógł czaić się gołębiarz. Słychać było jęki, ktoś wzywał pomocy. Na ulicy, w kałuży krwi leżał powstaniec. Dostał w obie nogi. W okamgnieniu były przy nim. Zręczne ręce zamocowały prowizoryczny opatrunek. Musiały się spieszyć. Biegiem niosły rannego do szpitala. Krew lała się z noszy. Nad ich głową poszła seria z karabinu, sypnęły się odłamki, ale brama była tuż-tuż, a za bramą szpital. Mogły zostawić tam chłopaka i biec po następnych.

Najtrudniej było, gdy nie dało się przyjść rannemu z pomocą. Jedna z sanitariuszek zapamiętała dzień, w którym ranny został jej kolega z oddziału. Niemcy postrzelili go, kiedy biegł z meldunkiem. Chłopak leżał na otwartej przestrzeni, kontrolowanej przez Niemców, i w żaden sposób nie można było się do niego zbliżyć. A on krzyczał z bólu i błagał o pomoc. Sanitariuszka chciała po niego iść, ale dowódca zabronił. Wiedział, że poszłaby na pewną śmierć. Ranny wołał i jęczał. Dziewczyna nie mogła tego znieść. Po trochu umierała razem z nim. Postanowiła, że ściągnie go pod osłoną nocy. Jednak zanim nadszedł wieczór jęki ustały. Chłopak zmarł.



Ci, których zniosły z pola walki, trafiali do szpitali i punktów sanitarnych. W przepelnionych szpitalach brakowało środków opatrunkowych, leków, wody, łóżek. Brakowało wszystkiego, tylko rannych było pod dostatkiem. Operacje przeprowadzano w świetle latarek, bez środków znieczulających. Pielęgniarki prały bandaże i używały ich wielokrotnie, albo darły na pasy prześcieradła i koszule, by opatrywać rany. Kolejne szpitale otwierano w podziemiach, czyli w piwnicach, takich na węgiel i na ziemniaki. Nad wejściem do ciasnych, ciemnych komórek były szumne napisy: Sala numer 1, Sala numer 2. W korytarzu, na kawałkach papieru, na starych kocach siedzieli lżej ranni. Dookoła zaduch, wilgoć, ropiejące rany, muchy. Ludzie tkwili w odrętwieniu, gorączkowali. Ze wszystkich stron słychać było błaganie: „Wody...”. Żeby zdobyć choć kroplę, sanitariuszki musiały przebiec kilka ulic, często pod gradem kul. Nigdy nie wiedziały, czy po powrocie zastaną jeszcze szpital, ani czy same zdołają wrócić.

Z kolei łączniczki i łącznicy przez całe powstanie przenosili rozkazy i meldunki. Byli telefonem polowym swojego dowódcy. Żeby zostać bohaterem, wcale nie trzeba było spalić czołgu. Bohaterami byli też ci, którzy docierali na czas z meldunkiem. Dziewczyny i chłopcy przedzierali się rozkazami do najbardziej oddalonych punktów. Jeśli nie dało się ulicami, to przechodzili kanałami. Byle tylko jak najszybciej donieść pilną wiadomość lub plecak pełen granatów. Codziennie ocierali się o śmierć. Jedną z wielu akcji, w której brała udział nastoletnia łączniczka, wyglądała tak:



Powstańcy z dachu kamienicy próbowali unieszkodliwić czołg, niemiecki Panther, Szła do nich łączniczka, niosła chłopakom chleb i kawę. Wiedziała, że są bardzo głodni i spragnieni. Kubły z kawą były ciężkie i nieporęczne, boleśnie obijały się o nogi. Dziewczyna z trudem wdrapała się na piąte piętro i dalej na dach. Chłopcy nie mogli uwierzyć, że do nich dotarła. Łapczywie pili prosto z wiader. Wtedy Niemcy przypuścili atak na kamienicę, wrzucili do bramy granaty. Schody stanęły w płomieniach. Powstańcy, ostrzeliwując się, krzyknęli do łączniczki:  
– *Leć na dół! Szybko! Niech ci dadzą piata i maszynowy! No już! Leć!*  
Dziewczyna rzuciła się do schodów. Stopnie i poręcze płonęły. Przypalała się guma w podszwach jej butów. Dym odbierał oddech, czuła swąd spalonych włosów. Ale pędziła, musiała zdążyć. Wreszcie trafiła na kogoś z ich oddziału.

– *Pomocy! Nasi są na dachu! Potrzebny piat i cekaem! Szybko!*



I nagle kamienicą targnęły straszne wstrząsy. Niemcy wystrzelili z czołgu. Zawaliły się dwa najwyższe piętra. Prawie wszyscy chłopcy zginęli. Tylko kilku udało się wyciągnąć z rumowiska. Sanitariuszka, z poparzonymi dłońmi i osmolonym warkoczem, przeżyła.



## GOŁĘBIARZE

Starsza pani z siwym koczkim odruchowo omiotła spojrzeniem dachy pobliskich budynków. Nagle zmrużyła oczy i wstrzymała oddech. Co to za cień, tam za kominem? A ten dziwny refleks? Wygląda jakby promień słońca odbił się w celowniku karabinu.

Nagle oprzytomniała. Nie, to tylko złudzenie, gra światel. Odetchnęła z ulgą. Przecież nie ma już gołębiarzy.

*– W czasie powstania z dachów często padał pojedynczy strzał.*

*Z ukrycia, zza komina strzelali snajperzy. Zwykle bardzo celnie.*

*Mówiło się o nich „gołębiarze” – opowiadała. Skąd taki przydomek?*

W warszawskiej gwarze tak określano łobuzów kradnących ubrania suszące się na strychach. Przyłapani na gorącym uczynku złodzieje tłumaczyli się, że przyszli tylko obserwować gołębie... W czasie powstania nazwa ta przylgnęła do ukrywających się po strychach i dachach niemieckich strzelców wyborowych. Gołębiarze otwierali ogień nie tylko do powstańców, ale do każdego przechodnia będącego w zasięgu ich wzroku. Brali na celownik kobiety, a nawet małe dzieci, i precyzyjnie zabijali jednym strzałem. Powstańcy ich tropili i likwidowali, ale gołębiarzy było wielu i ciągle następny krył się w cieniu komina z bronią gotową do strzału.

# HARCERSKA POCZTA POWSTAŃCZA

Na Rynku Starego Miasta, przed budynkiem Poczty Polskiej, zebrało się kilka osób. Przywitali się serdecznym uściskiem. Od razu było widać, że dobrze się znają. Od lat spotykali się na tym rynku, zawsze pierwszego sierpnia o 17-tej. Starszy mężczyzna wskazał końcem laski wiszącą na murze czerwoną skrzynkę na listy.

– *A pamiętacie Zawiszków?* – spytał.

– *A jakżeby inaczej? To były takie wspaniałe dzieciaki* – pokiwała głową starsza pani i poprawiła zsuwające się z nosa okulary.

Dalszą rozmowę zagłuszył przesywający dźwięk syreny alarmowej.

Wtedy wszyscy odruchowo wyprostowali się i zamilkli. W takiej chwili, stojąc przed budynkiem poczty, mogli myśleć tylko o nich.

O Zawiszkach.

Zawiszacy to najmłodszy harcerze Szarych Szeregów. W czasie powstania warszawskiego obsługiwali Harcerską Poczta Polową. Bycie listonoszem było dla małych warszawiaków powodem do dumy. Już 6 sierpnia na ulicach walczącego miasta, na stanowiskach bojowych, na podwórkach, w schronach i szpitalach, zawisły skrzynki pocztowe z wizerunkiem lilijki i napisem: „Harcerska Poczta Polowa”. Te skrzynki obsługiwali nastoletni harcerze. Z torbami pełnymi listów, przemykali sobie tylko znanymi przejściami, przez płoty, piwnice, dziury w ścianach i kanały. Pod ostrzałem wroga docierali tam, gdzie zawahaliby się pójść najodważniejsi dorośli. Czy się bali? A kto by sobie tym zaprzętał głowę! Gdy listonosz w krótkich spodenkach dostał listy do rozniesienia, przeżegnał się i od razu leciał spełnić swój obowiązek.

Doręczał pocztę, by ludzie mogli dowiedzieć się czegoś o losach swoich bliskich. Często były to dobre wieści, bo jeśli ktoś pisał, to znaczyło, że żyje i szuka swoich. Ci dzielni listonosze widywali matki, które ze szczęścia całowały dostarczone przez nich małe, zabazgrane karteczki. Tylko początkowo używano czystych kartek i kopert. Potem, z każdym dniem, coraz trudniej było o papier. Pisano więc na skrawkach, czasem wielkości biletu tramwajowego. Każda wiadomość mogła składać się tylko z 25 słów, a wszystkie listy mali pocztowcy doręczali za darmo. Ci chłopcy szybko stali się ulubieńcami stolicy. Nazywano ich roznosicielami radości i obdarowywano – a to miską zupy, a to sucharem z marmoladą, a czasem zwykłą kostką cukru.

W czasie 63 dni powstania dzielni listonosze przenieśli około 200 tysięcy przesyłek. Wielu przy tej okazji zostało rannych, jeszcze więcej odeszło na wieczną wartę. I jak tu się dziwić, że mieszkańcy stolicy, pamiętający powstanie, wspominają Zawiszków z takim wzruszeniem?



## KANAŁY

Trzy dziewczyny w kolorowych sukienkach szły ulicą, stukając obcasami. Na Krakowskim Przedmieściu jedna z nich, wskazując na okrągły wąż do kanału, spytała

– *Wiecie, że w czasie Powstania Warszawskiego moja babcia była szczurem kanałowym?*

Jej koleżanki przystanęły zaskoczone.

– *Jak to szczurem?* – najmłodsza dziewczyna rzuciła spojrzenie na wąż kanalizacyjny, przy którym stały.

– *Tak określano przewodników kanałowych. Najlepiej nadawały się do tego osoby niskie i szczupłe, a babcia była niewysoka i chudziutka. Chodziła w kanałach z latarką albo ze świeczką w ręce i przeprowadzała ludzi. Wielu z nich dzięki temu ocalało.*

– *Ja w życiu bym nie zeszła do kanału* – wzdrygnęła się jedna z dziewczyn. – *Tam musiało być strasznie.*

– *Zeszłabyś, bo chciałabyś przeżyć. Jak oni wszyscy* – usłyszała.

Chwilę potem zegar na wieży Zamku Królewskiego wybił 17-tą. Zawyły syreny. Dziewczyny stały nad okrągłą pokrywą i myślały o ciemnych, zdradliwych kanałach i drobnej babci przewodniczce. Czy się bała chodząc tam pod ziemią? I jak to właściwie wtedy wyglądało?

Ci, którzy przepawali się kanałami, zapamiętali to tak:



Właz był nieduży. Po żelaznych klamrach ludzie opuszczali się w dół cementowej studni. Na górze wybuchały bomby i pociski, a na dole panowała cisza i taka ciemność, że nie było widać nawet czubka własnego nosa. Sklepienie i dno były zaokrąglone. Strzałki narysowane kredą na ścianach ułatwiały orientację. Jako pierwsza szła przewodniczka, niosła świeczkę lub latarkę. Reszta podążała za tym światelkiem. Żeby się nie zgubić, trzeba było trzymać się ubrania osoby idącej z przodu. Marsz musiał odbywać się w milczeniu. Jakikolwiek odgłosy mogły zaalarmować Niemców, którzy czyhali przy otwartych włazach. Słyszac rozmowy czy choćby chlupot wody, zrzucali z góry granaty lub puszczali serię z karabinów maszynowych.

Kanałami płynęła woda i ścieki. Na dnie zalegało błoto i kał. Zaduch był nie do zniesienia. Ściany pokrywała zielona, śliska maź. W jednym miejscu woda sięgała do połowy łydki, w innym do pasa. Wysokość kanałów też się zmieniała. Na niektórych odcinkach można było się wyprostować, ale tam, gdzie sklepienie kanału się obniżało, ludzie szli na kolanach, brodząc w cuchnącym mule. Na taką przeprawę najlepsze były dziurawe buty, bo ścieki swobodnie z nich wypływały. Idący wyczuwali pod nogami dno kanału. Wiedzieli, że jeśli stopa nastąpi na coś twardego, to jest to najpewniej porzucony bagaż. Jeśli poczuli coś miękkiego, było to ciało kogoś, kto się przewrócił i utopił.

Nieprzenikniona ciemność potęgowała nastrój grozy. Kanały miały swoje liczne odnogi i rozwidlenia. Perspektywa pobłądzenia w nich była równie przerażająca, co spotkanie oko w oko z Niemcami. Dlatego trzeba było bardzo uważać i mieć nadzieję, że po kilku godzinach marszu szczur kanałowy doprowadzi wszystkich pod właściwy właz. Wtedy pojawiał się snop światła nad głową i padały upragnione słowa: „Uwaga! Wychodzić! Szybko!”. Potem musieli znaleźć jeszcze siły, by wspiąć się z mozołem po żelaznych hakach. I wreszcie zapach powietrza i czyjeś ręce, które łapią, podciągają, pomagają wyjść.

Kanały w walczącym mieście zastępowały ulice. Powstańcy przynosili nimi meldunki, broń, amunicję. Opuszczali kanałami teren, którego nie mogli już utrzymać, i przemieszczali się tam, gdzie walka była jeszcze możliwa. Cywilów pchał do kanałów strach przed śmiercią. Chcieli się ewakuować, chcieli po prostu żyć. I wielu przeżyło dzięki tej podziemnej drodze i odwadze kanałowych szczurów.



## PIWNICE

Warszawa. Siedemnasta. Dźwięki syren i klaksonów wibrują w powietrzu. Ludzie zatrzymują się na Marszałkowskiej, Grochowskiej, Ostrobramskiej. Myślą o powstańcach z białą-czerwoną opaską na rękawie, ale i o zwykłych mieszkańcach Warszawy. Cywile też byli uczestnikami powstania. Wspomagali je, gasili pożary, wydobywali spod gruzów zasypanych ludzi, stawiali barykady, grzebali zmarłych. To ich Niemcy używali jako żywych tarcz, dla osłony swoich czołgów. Cywile przed bombami chronili się w piwnicach. Bez wody, żywności i lekarstw, każdego dnia walczyli o przetrwanie. Wielu warszawiaków stojących pierwszego sierpnia na Marszałkowskiej, Grochowskiej, Ostrobramskiej, na wszystkich ulicach i placach miasta,

próbują wyobrazić sobie, z czym mierzyli się zwykli ludzie przez 63 dni powstania. Ci, którzy przeżyli, wspominają je tak:

Kiedy zaczęły się regularne bombardowania, trzeba było przenieść się do piwnic. Wkrótce te mroczne, ciasne pomieszczenia były przepełnione do granic możliwości. Wszyscy siedzieli w zaduchu i ciemności, wsłuchani w świst nadlatujących bomb. Kiedy nad ich głowami waliły się piętka, myśleli: „To już? Zasypie nas? Tylko byle szybko, żeby nie bolało...”. Jedni modlili się w głos, inni odruchowo osłaniali ramionami głowy, dzieci płakały na kolanach matek. Ludzie ukryci w piwnicach bali się nalotów, miotaczy ognia, czołgów. Bali się, że wpadną Niemcy, będą wrzeszczeć, każą wyjść i wszystkich rozstrzelają. Albo wrzucą do piwnicy wiązkę granatów. I tak mijały dni całe w strachu i w bombach. Brakowało wody. Przy czynnych jeszcze hydrantach ustawiały się kolejki ludzi z wiadrami.

Te miejsca były często pod ostrzałem snajperów, więc wielu śmiazków próbujących nabrać wody ginęło od ich kul. W poszukiwaniu jedzenia warszawiacy wyprawiali się na cudem ocalałe piętra domów, po jakieś zapasy z kuchennych szafek. Był sierpień, początkowo udawało im się zdobyć warzywa i owoce z ogródków działkowych, ale wkrótce i plonów zabrakło. Jedli coś od przypadku do przypadku. Wodnista zupa, kasza z robakami, zdobyczny kawałek koniny, a czasem tylko twardy suchar w garści – takie rarytasy składały się na wojenne menu.

Mieszkańcy kamienic wykuwali otwory w ścianach piwnic, dzięki temu powstawały podziemne przejścia pomiędzy budynkami. To ułatwiało poruszanie się, bez konieczności wychodzenia na zewnątrz. Kiedy cichło bombardowanie, wyciągali z gruzów zasypanych sąsiadów. Grzebali tych, którzy nie przeżyli. Nie było trumien, więc zawijali ciała w koce, obrusy i układali przy nich butelki z informacją o zmarłych – imię, nazwisko, niekiedy sam pseudonim.

Jakże trudno było dzieciom odnaleźć się w tym wszystkim. Były świadkami bombardowań, egzekucji, śmierci bliskich. Te najmłodsze, patrząc na zabitych rodziców, były przekonane, że mamusia i tatuś wstaną, niech no tylko się wyśpią. Strach, poczucie zagrożenia, głód, pragnienie, ból – to ich codzienność, a piwnica na wiele dni była dla tych dzieci całym światem. W jednej z kamienic, w ciemnym piwnicznym zakamarku, maluchy przykładają ucho do ściany, by posłuchać świerszcza, który siedział w szparce i grał. Kotów i psów już nie było. Uciekły, zgubiły się, spłonęły, padły lub zostały upolowane. Został tylko ten świerszcz. Po kolejnym bombardowaniu, gdy dom zatrzęsł się w posadach, zamilkł i on.

Takie obrazy, pełne ludzkich dramatów, mają w oczach warszawiacy stojący pierwszego sierpnia na ulicach swojego miasta. Cywile, tacy jak oni, zginęli w ostrzale, w bombardowaniach, w pożarach. Zostali rozstrzelani, zmarli w wyniku chorób, ran i wyczerpania. Było ich sto osiemdziesiąt tysięcy.

Drugiego października 1944 roku upadło Powstanie Warszawskie. Po 63 dniach walki podpisano kapitulację, a powstańcy złożyli broń. W czasie powstania zginęło 18 tysięcy powstańców, a 25 tysięcy zostało rannych. Straty wśród ludności cywilnej były ogromne i wynosiły około 180 tysięcy zabitych. Pozostałych przy życiu mieszkańców, czyli pół miliona ludzi, wypędzono z miasta. Warszawa została niemal całkowicie zburzona i spalona.





## ZAKOŃCZENIE

Minęła siedemnasta. Kiedy ucichły dźwięki syren, zastygłe w bezruchu miasto znów ożyło. Tramwaje ze zgrzytem kół odjechały z przystanków, samochody z impetem ruszyły spod świateł. Ulicami znów spieszyl kolorowy tłum. Słychać było gwar rozmów, jakąś melodię, nawoływania dzieci. Zwykły wielkomiejski zgiełk. Szybki stukot obcasów mieszał się z cichym odgłosem ostrożnie stawianej laski. Ulicami pędziła młodość, a w ślad za nią szła pamięć o tych, którzy polegli walcząc o każdy dom, o każdy kamień, pamięć o wszystkich bezimiennych bohaterach tamtych dni. Ich losy wciąż poruszają wyobraźnię, są legendą tego miasta. Tak pisał o nich Stanisław Marczak–Oborski w wierszu „Do powstańca”. Oto jego fragment:

I wiedz, że krokiem w nędznym bucie  
jak pomnik dziś w historię wrastasz.  
I wiedz, że w sercu twoim bije  
uparte serce tego miasta.